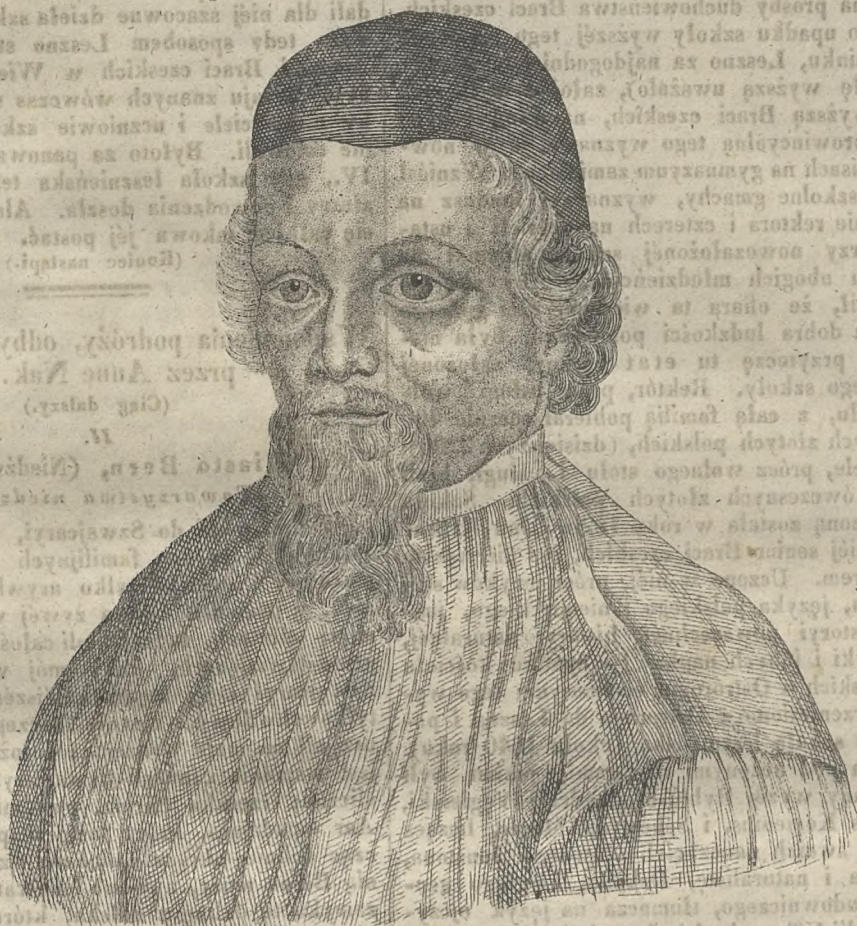


Przyjaciel Ludu.

Rok piąty.

No. 3.

Leszno, dnia 21. Lipca 1838.



Jan Amos Komenskí (Comenius).

Gymnazyum illustre w Lesznie.

(Z dzieła: O Braciach czeskich, p. Łukaszewicza.)

Do wyznania Braci czeskich, które w drugiej połowie 16go wieku większą część szlachty wielkopolskiej do siebie przeciągnęło, należała także można w tej prowincyi rodzina Leszczyńskich, której gniazdem i własnością było od niepamiętnych czasów miasto Leszno. Leszczyńscy, chwyciwszy się nauki Braci czeskich, zaprowadzili natychmiast po obszernych dobrach swoich obrządku swego wyznania, oddali mu kościoły katolickie, w dobrach tych znajdujące się, i założyli przy nich szkółki elementarne. Taka szkołka elementarna Braci czeskich, znajdowała się także w Lesznie, aż do pierwszej połowy 17go wieku. Założył ją w roku 1555 Rafał Leszczyński, ka-

sztelan śremski; wznowił i uposażył lepiej Andrzej Leszczyński, wojewoda brzesko-kujawski, w roku 1604. Szkołka atoli ta, nie różniła się w niczem od mnóstwa innych szkółek elementarnych, wyznania tego w Wielkiej Polsce. Do zamienienia jej na szkołę wyższego rzędu, posłużyły następujące okoliczności: W pierwszej połowie 17go wieku, przesładowania religijne w państwach, domowi rakuskiemu podległych, sprowadziły do Wielkiej Polski tysiące Czechów, Morawców i Niemców, wyznania luterskiego i Braci czeskich. Leszno dało przytułek znacznej nader liczbie tych wychodźców. W skutek takowego napływu cudzoziemców, w skutek rozmaitych swobód, które Leszno dziedzicze hojną dłonią nadawali, nareszcie w skutek zagarnienia całego niemal handlu wielkopolskiego, Leszno

stało się w krótkim przeciągu czasu miastem ludnym i zamożnym. Wynikła tedy potrzeba założenia w tém mieście szkoły wyższej; zamierzali zaradzić téj potrzebie sami mieszkańcy Leszna, uprzedził atoli ich zamiar Rafał Leszczyński, wojewoda bełski, dziedzic natenczas Leszna. Uczony mąż ten, częścią z własnego natchnienia, częścią na prośby duchowieństwa Braci czeskich, (które po upadku szkoły wyższej tego wyznania w Koźminku, Leszno za najdogodniejsze miejsce na szkołę wyższą uważało), założył w Lesznie szkołę wyższą Braci czeskich, nazwaną później szkołą prowincyalną tego wyznania, a w nowszych czasach na gymnasium zamienioną. Wzniósł z cegły szkolne gmachy, wyznaczył fundusz na utrzymanie rektora i czterech nauczycieli i ustanowił przy nowozałożonej szkole alumnat na dwunastu ubogich młodzieńców. Aby zaś kto nie sądził, że ofiara ta wiecznej czci godnego męża dla dobra ludzkości poniesiona, była nieznaczna, przytoczę tu etat roczny, założonej przez niego szkoły. Rektór, prócz usługi i wolnego stołu, z całą rodziną pobierał rocznie 400 ówczesnych złotych polskich, (dzisiejszych 3200); nauczyciele, prócz wolnego stołu i usługi, brali po 120 ówczesnych złotych polskich. Szkoła ta otworzoną została w roku 1626. Jan Rybiński, później senior Braci czeskich, był pierwszym jej rektorem. Uczono w niej, prócz języków starożytnych, języka polskiego i niemieckiego, geografii, historii powszechnej, historii naturalnej, matematyki i innych nauk. Po upadku kościoła Braci czeskich w Ostrorogu, seminaryum tego wyznania przeniesiono z Ostroroga do Leszna i połączono z szkołą lesznienską (około 1640 roku). Szkoła ta pod uczonymi rektorami, jakimi byli wspomniany wyżej Rybiński, Andrzej Węgierski, Jan Amos Komenius, i Sebestyan Macer, licząca do grona swoich nauczycieli sławnego Jonstona, polihistora i naturalistę, Dekana, biegłego geometrę i budowniczego, tłumacza na język ojczysty Archelii Uffana, i wielu innych ludzi uczonych, zakwitła w krótkim przeciągu czasu. Cisnęła się do niej młodzież dyssydencka, a nawet katolicka, z Wielkiej i Małej Polski, z Prus królewskich, Śląska, Morawii, Czech i Węgier. Na takowe ubieganie się do niej młodzieży, zasługiwała szkoła lesznienska przez swoje wzorowe urządzenie, przez ciągłe ulepszanie metody uczenia i postępowanie krok w krok z duchem i potrzebami czasu. Gdy szkoły akademickie i jezuickie w Polsce, gdy szkoły katolickie i protestanckie w ościennych Niemczech trzymały się uporczywie w uczeniu młodzieży odwiecznych prawideł i zwyczajów mitrzących uczniom nadaremnie czas drogi, nauczyciele szkoły lesznienskiej odważyli się utorować sobie inną, nieznaną dotąd nikomu, drogę w wielkim swoim powołaniu. Komeniusz *)

*) Biblioteka leszczyńska przechowuje dotychczas wierny wizerunek tego dawniejszego rektora tutejszej

wypracował dla szkoły lesznienskiej tak sławne dzieło swoje: „*Janua linguarum reserata*,” ułatwiająca uczniom nieskończenie nabycie obcych języków; Jonston zebrał dla niej porządną historią powszechną i wydał w Lesznie 1639 roku u Wiganda Funka, pod tytułem: „*Horarum subciavarum etc. pars I et II*,” inni nauczyciele wydali dla niej szacowne dzieła szkolne innej treści. Tym tedy sposobem Leszno stało się wkrótce Atenami Braci czeskich w Wielkiej Polsce. Nie było rodzaju znanych wówczas nauk, w którymby nauczyciele i uczniowie szkoły lesznienskiej nie celowali. Byłoby za panowania Władysława IV., gdy szkoła lesznienska tego szczytu swęj sławy i powodzenia doszła. Ale odtąd zmieniła się całkiem takowa jej postać.

(Koniec nastąpi.)

Wspomnienia podróży, odbytej roku 1837 przez Anne Nak.....

(Ciąg dalszy.)

II.

Miasto Bern, (Niedzwiedzie.)

Towarzystwa niedzielne.

Podróż moja do Szwajcaryi, w jednym celu załatwienia spraw familijnych przedsięwzięta, może mi nastroczać tylko urywkowych wspomnień, w prawdzie barwą żywej wyobraźni w pamięci odbitych, żadnej atoli całości, w opisie nieprzedstawiających. Pobyt mój w Bernie, stolicy Szwajcaryi i jej najznaczniejszém mieście, lubo tylko chwilowy, równie szczególne, jak miłe uczynił na mnie wrażenie; położenie miasta tego jest wspólnie z innemi Szwajcaryi grodami, przesłiczne; rzeczka Sarina, pod miastem do rzeki Aar wpadająca, kręty bieg w przepadziściej tocząc dolinie, okrąża nadobnie wznoszące się nad nią Bernu mury, a pasmo lodowatych olbrzymów, zamyka tę dolinę z daleka, które nawet w dniu niepo pogodnym, zawsze na widnokręgu, na szarem niebie, białemi, krętymi wstęgami się odznaczają; ulice lipami i orzechowem drzewem wysadzone

szkoły i znanego w całej Europie pedagoga, rytowany w Hollandyi na miedzi, z rozporządzenia parlamentu angielskiego, z następującym napisem:

„*Reverendissimus in Christo Pater Joannes Amos Comenius, Anatoliae Ecclesiae quae Unitas Fratrum vocatur per majorem Poloniam, Lithuaniam et Prusiam Episcopus Senior et Synodorum Praeses Reliquiarum ejusdem Ecclesiae Fratrum per Bohemiam, Moraviam caeterasque Sclavorum Provincias, dum inter vivos Episcopus solus superstes; aeternae Divinitatis Jesu Christi Propugnator acerrimus; Unionis inter omnes Christianos puriorem religionem profitentes Suasor et Prosecutor; Ecclesiae orbis Britannici prae caeteris amicissimus; in Scholarum palaestra clarissimus et meritissimus, omnibus ob eruditionem excellentem satis notus; Passionum Christi consors. Natus in Moravia 28 Martii 1592 Ecclesiae Julnencensis Moravorum Pastor, in Synodo Lesnensi Maj. Polon. 1648 consecratus; Christi Exul ad Diem usque supremum, quem obiit Amstelodami Nov. 25 1670 tandem requiescens in pascuis aeternis sc. vulneribus Jesu.*”

na wszystkich do miasta wiodących drogach, uprzyjemniają je przybywającym do niego podróżnym. Budowy Bernu, więcej dwa zeszłe wieki, jak średnie przypominające, lubo nie wspaniałe, są jednak obszerne i nader przez swe arkady dla mieszkańców wygodne; trzy ulice całe to miasto składają, a sklepione wzdłuż nich chodniki, o których rynek miasta Zamościa i innych naszych dawnych miast, najlepsze dać może wyobrażenie, pozwalają wyższemu towarzystwu, w tém mieście uczęszczać na wieczory i bale, nie wsiadając do karety; nikt więc nie pozwala tam sobie trzymać koni, ani mieć pojazdu; równie towarzyskie usposobienie, jak przesąd narodowy, zabraniają najbogatszym osobom, téj tak istotnej przyjemności, w owym ściśle wolnym kraju; niema téż miasta w Europie, równie cichego, jak Bern, osobiwie w wieczór i w nocy; dyliżanse peryodycznie odchodzące i przybywające, przerywają niekiedy uliczne milczenie; trąbka poczytłona, do wytwornej oberży pod sokołem, albo do przyjemnej, a mniej drogiej, aux Gentils hommes zwanéj, cudzoziemców przywołującego, zwiastuje tam w wieczór jedynie, że i w Szwajcaryi, tak jak gdzie indziej, ludzie koni używają. Ale za to arkady, bywają od rana do późnej nocy przepelniane ustawicznie mijającymi się pod niemi wszelkiego stanu i ubioru osobami; tam rozliczne sklepy, wszystkich części świata płodów zbiór przedstawiające, (bo w Szwajcaryi żadnych ceł nie ma) wabią tysiącem przedmiotów oczy i chęci przechodniów zaspokoić mogą; ale drogość ich, a osobiwie krajowych wyrobów, w krótkce zapal do ich nabycia ostudzi i nie jeden już wydobyty woreczek, na powrót do kieszeni wsunie. Z tych ostatnich, to jest z krajowych płodów, odznaczają się równie delikatne, jak gustowne hafty, z kantonu Appenzell dostawiane, i śliczne drobne drewniane wyroby, na górach przez pasterzy, całe tam lato z krowami samotnie przebywających, nożami wyrzynane: te ostatnie tak są dokładnie wyrabiane i tyle mają wytworności i smaku, że Anglicy i inni cudzoziemcy, chciwie ich poszukują i do wysokiej podnoszą ceny; są to figurki, koszyki, talerze i inne drobniejsze jeszcze rzeczy, z białego świerkowego drzewa, ładnie malowane i krajowe przedmioty wyobrażające; a ze w górach szwajcarskich, wiejskie domki malowniczym sposobem budowania odznaczają się, można w tychże sklepach znaleźć także wzory domków drewnianych różnej wielkości, które do innych krajów przewiezione, miłe wspomnienie podróży, w ozdobie ogrodu naśladowane, przedstawić mogą. Bern i Genewa, obfitują w składy tych ładnych drewnianych nieużyteczności i największych lubowników w tym względzie zaspokoić zdofają.

Gmach katedralnego kościoła w Bernie, przedstawia żywy obraz zmiany czasów i wieku. Fantazyjnej gotyckiej architektury porządek, wzniosł jego okazałe krużganki i wieże;

okrył mury nieprzeliczonych drobnych ozdób szeregiem, wyrył w kamieniu koronki wzory, i szlachetne świętych postacie, obok skrzydlatych Cherubów przy wejściach téj świątyni nagromadził;... wyszłam z katedry, więcej jęj powierzchownością, jak terazniejszém przeznaczeniem zajęta i daleko mi się lepiej podobał sposób, którym z jęj dawnego cementarza korzystano; jest on na publiczną przechadzkę przerobiony, wielkimi drzewami wysadzony i niskim murem opasany, który ślicznego widoku na miasto, dwie łączące się rzeki, żyzne pola i śnieżne góry, przechadzającym się po szerokich ulicach, tego pięknego ogrodu bynajmniej nie kryje.

Szczęśliwym trafem znalazłam w Bernie miłe towarzystwo; pani de M., z domu hrabianka G., moja współrodaczka, tam od roku zamężna, uprzejmością i gościnnem mną się zajęciem, przejazd mój przez to miasto wiele mi uprzyjemnić zdofała: państwo de M. obeznali mnie oboje z czarującymi okolicami swęj siedziby; poznałam w ich towarzystwie całą piękność doliny, w póród której Niedźwiedziogród się wznosi, a wspomnienie tak przepolszczonego nazwiska, niedozwala mi pominąć przedmiotu, który do tego jest mi powodem; słowo Bär znaczy po niemiecku niedźwiedź, nie wiem dlaczego głoska n przydana mu została; ale najpewniejszą jest, że Bern od niedźwiedzia nazwisko swe wywodzi, to zwierzę w herbie swego kantonu nosi, a dla uwiecznienia tak szczególnego pochodzenia, pewną liczbę niedźwiedzi w otaczających miasto fossach, utrzymuje; nikt z bogatszych obywateli, nie rozstaje się z tym światem, bez zapisania jakiego kapitału tym osobiwym reprezentantom szwajcarskiej stolicy; umieszczone wygodnie w podziemnych murowanych izbach, zkad prosto do foss wychodzą, bywają nieustannie odwiedzane z góry, przez ciekawą publiczność, która niemożąc tak, jak berneńscy bogacze, składać u ich łap pieniężnych ofiar, gruszkami i chlebem nieustannie je karmi. Lubo ten żywy pomnik szwajcarskiej narodowości, więcej mnie rozśmieszył, jak rozczulił; zamilowanie atoli wszystkiego tego, co przeszłość w pamięci odbija, ma zawsze coś szanownego i czasem nawet niedźwiedzia zajmującym czyni: nieszczędziłam więc gruszek i chleba, dla zadowolenia owych berneńskich bożyszców, a mówiąc o nich z moją młodą przewodniczką w tém mieście, dowiedziałam się, że te zwierzęta nie uszły, wraz z innemi pamiętkami pobitych krajów, Napoleona uwagi, i że równie, jak zachwycające sztuk pięknych włoskich płody, te niezgrabne stworzenia, podróż do Paryża odprawiły, w owym czasie, kiedy świat cały jego wielkiemu geniuszowi, czyli szczęśliwej gwiazdzie, hołdował. Znikł meteor okazały, a obok Apollina z Belwederu i medycejskiej Wenery, udała się napowrót do ojczystego miasta, ogromna klatka, brzydkie, ale uwielbiane zwierzęta, do dawno przez nie zamieszkałych

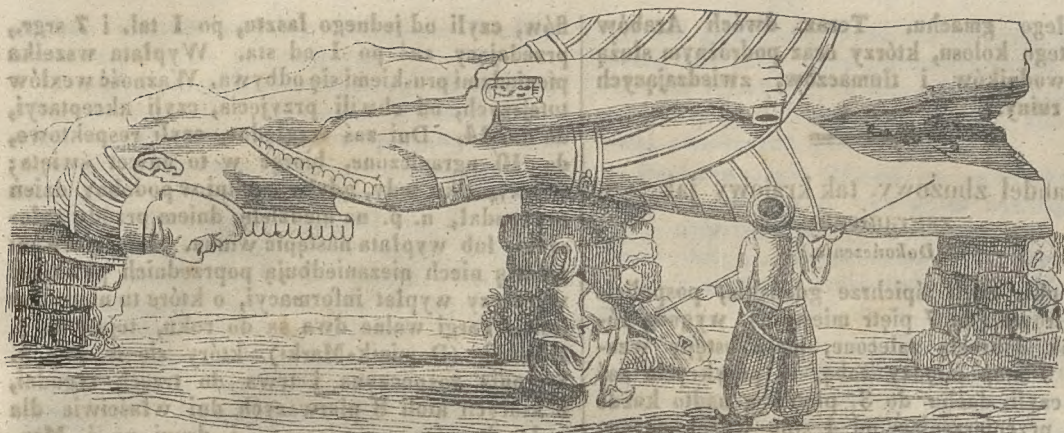


Widok miasta Bern.

foss odwożąc, i z zapalem przez tęskniących do nich Bernenczyków przyjęta została: odtąd niedźwiedzie zajmują spokojnie odwieczne swoje siedlisko, i błogosławią europejskie przymierze, które, między innemi, ważne dzieło ich uwolnienia podziwiałacemu światu przedstawiło.

Obok dokładnej wiadomości o owych narodowych niedźwiedziach, zostało mi w pamięci więcej zapewne wspomnienia godne niedzielnego towarzystwa opisanie, które lubo w całej podobno Szwajcarii istnieje, najściślej się jednak w tém mieście i w Genewie utrzymuje. Szwajcarskie społeczeństwo, jest zupełnie dla cudzoziemców zamknięte i jedną z trudności do przypuszczenia do niego tychże, są tak zwane niedzielne schadzki, które mi moja przyjemna bernenska przewodniczka, jako do nich należąca, najtrafniej opisać zdołała. To zbieranie się młodzieży w dni niedzielne, od nie-pamiętnych istnieje czasów, nie mogła mi więc o jego początkach żadnej udzielić wiadomości. Skoro chłopczyk, albo dziewczynka, dojdą lat od 8. do 10., należą do zgromadzeń, które się w niedzielę kolejno w domach rodziców rówieśników swoich w wieku odbywają; są tam odprowadzane i zostawiane na cały wieczór, przez matki, lub ochmistrzynię, które całe to hałaśne grono pod dozorem pani domu zostawiają i o zwykłej, do spoczynku przeznaczonej godzinie, po nie przychodzą; te dzieci bawią się lalkami i grami różnemi, dostają podwieczorek do ich wieku zastósowany i rozchodzą się ze słodkim prze-

konaniem, że w następną niedzielę, też sama zabawa w innym domu się dla nich powtórzy; ale jutrzeńka ich życia coraz żywiej blaskiem lat młodocianych jaśnieje, a wnet z owych małych krzyczących i biegających niedzielnych towarzyszy, wykształca się czarnoooki młodzieniec i pełna wdzięku dziewczica. Niedziela im się różnie jak i dzieciom uśmiecha, a panienska w 15. roku życia, już sama bernenskie arkady przebiega, dążąc wieczorem do właściwego towarzystwa, wtedy, kiedy jej dziadunio, albo babunia, ojciec i matka, nawzajem się do tych domów udają, gdzie prawie od kolebki w każdą niedzielę bawić się przywykli i gdzie ich nie tylko chęć spędzenia przyjemnie kilku godzin, ale zapewne wieloliczne związki i wspomnienia wiodą. Tak więc Szwajcar i Szwajcarka, poświęciwszy się raz w tydzień zabawie, która ściśle ich wiekowi przystoi, mało dbają o szukanie innych rozrywek, a mniej jeszcze o zabieranie nowych znajomości; jeżeli się kto ożeni z osobą, należąca do innego towarzystwa, bywa przybrany do tego, które jego żona odwiedza, a to przyjmowanie po każdą niedzielę, jest także jedną z osobliwości owego postanowienia. Skoro więc zabawy dziecinne dorastającą młodzież zajmować przestają, zastępuje taniec ich miejsce, później zaś tam, jak wszędzie, karty, a nakoniec rozmowy, a może i drzwanie: bo wiek najpóźniejszy z uczęszczania do niedzielnego towarzystwa wymówić się nie zdoła. I te same salony, co przed pięciudziesiąt laty widziały żwawo igrających starca i sędziwą kobietę,



Kolos Sezostrysa.

teraz w ogromnych krzesłach, z obydwóch stron komina siedzących, zgromadzają do ostatka szczątki niegdyś licznego ich towarzystwa. Matka pana de M., przeszło siedemdziesiąt-letnia osoba, uczęszcza dotąd co niedziela do społeczeństwa, które już tylko cztery w równym z nią wieku damy liczy, wtedy, kiedy jej dwudziesto-letnia synowa, spieszy zdobić znanym ładnej Polki wdziękiem, pyszniące się z przybranej cudzoziemki młodych Szwajcarów grono. Arkady przedstawiają, co niedziela o godzinie 10. w wieczór, chwilową illuminacyą, bo tysiące zapalonych latarni, krzyżują się długi czas pod niemi w ręku skrętnych służebnic, po swoje państwo idących; nasze powozy i konie zastępujących. Ci, co do jednej z niemi partyi wista należeli, odprowadzają damy do ich mieszkania, a tak mąż z żoną nigdy razem do domu nie wraca, bo tę damę odprowadzić winien, której był partnerem; jego zaś żona, temu rękę swą podaje, który z nią dzielił wieczorną zabawę, i przy świetle poufatej latarki, w ciemne uliczne ganki się z nim zapuszcza. Zapewniano mnie, że dobre obyczaje, bynajmniej na tym szczególnym układzie nie cierpią; być to może; pani de M. jako cudzoziemka, wyłączała się jednak od wypełnienia tego ostatniego niedzielnego obowiązku, oświadczając raz na zawsze, że dla niej najdogodniej będzie, z własnym mężem do siebie wracać. Nie wiem, czy ten zalotny sposób szwajcarskiej grzeczności, w późniejszym zachowuje się wieku; ale kiedy weseli tancerze, partnerzy do wista, równie jak i towarzysze życia kolejno znikają, cóż pozostaje niedzielnej posiwiałej towarzysze, jak samotny powrót do domu; szczęśliwa, jeżeli jej latarka dobrej sławie i nieskazanemu sumieniu przyświeca, a wspomnienie użytecznie strawnego życia, cichy spoczynek zapewnić może.

Niedzielne towarzystwa, nie przeszkadzają jednak bynajmniej w innych dniach tygodnia zabawom i schadzkom, którym pomieszane życia wieki, równie jak i w innych europejskich miastach, ruch i przyjemność nadają, zawsze jednak z samych tylko krajowców składające się; cudzo-

ziemcom zwiedzanie kraju i podziwianie jego piękności, jako dostateczną dla nich zabawę zostawiając: uczęszczanie tychże do Szwajcaryi z latem się zaczyna, a lato tak w Bernie, jak wszędzie, zawsze wyłącznie pięknościom przyrodzenia, jak uciechom towarzyskim poświęconem bywa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kolos Sezostrysa.

(Odkryty przez kapitana Caviglia, pomiędzy wsiami Bedrechein a Mil-Rachinch, na południe starożytnego Memfis.)

O milę od piramid egipskich, leży miasto Gizah: z tamtej strony idąc drogą wzdłuż rzeki Nilu i przebywszy kilka nędznych wioścyn, palmami uwieńczonych, staniem w Bedrechein. Za wioską płaszczyna zaległa ruinami: co chwila stopa wędrowca trąca o gruz starożytny, sterczący jeszcze w pośród zasypującego wszystko morza piasków, które już zalało większą część najwspanialszych pomników, i zapewne wkrótce resztę pochłonie. Na tym to cmentarzu dawnej Egipcyan wielkości, kapitan Caviglia, któremu winniśmy odgrzebanie wielu pięknych egipskich pomników, odkopał wspaniały kolos. Kolos ten olbrzymi, jest jednym z najpiękniejszych zabytków sztuki egipskiej, jest wykuty z marmuru, który aczkolwiek żyłasty, dochował jeszcze politurę właściwą rzeźbom tej epoki.

Część niższa nóg utracona: wielkość jego wprawia w podziwienie, i ma przeszło 11 metrów francuzkich: rzeźba bardzo proporcjonalna, zwłaszcza twarz dobrze zachowana, przedziwniej roboty: przedstawia króla Sezostrysa, który panował podług tablicy chronologicznej z Abydos, 1565 lat przed erą chrześcijańską: na piersiach znajduje się napis: Sezostrys. Kapitan Caviglia zachował tę ostrożność, że kazał ten kolos twarzą do ziemi obrócić i podmurować w ten sposób, jak to obrazek przedstawia, ponieważ Arabowie zwykli psuć wszystkie postacie ludzkie. Kolos ten zapewne stał przy wniścieniu jakiego

wspaniałego gmachu. Teraz dwóch Arabów strzeże tego kolosa, którzy oraz podróżnym służą za przewodników i tłumaczy, zwiedzających tutejsze ruiny.

Handel zbożowy. tak krajowy jak zagraniczny.

(Dokończenie.)

Wsyпки, czyli śpichrze gdańskie, pospolicie kilkopiętrowe (do 7 pięter miewają), wygodą równie jak dobrocią zalecone, mają ustępy wzajem po 9 stóp między sobą, w przykryciu zaś swém, czyli dachu do 3. piętr; a nadto każde wzdłuż przepierzeniem od 4 stóp wysokiem poprzegradzane. W każdej podobnej przestrzeni po 150—200 kwarterów ziarna się mieści. Prócz tego pełno jest okienek, które za każdą pogodą dla wietrzenia otwierają; przerabianie wszakże zboża całego, mimo to, trzy razy w tygodniu odbywa się; przewiew ten (wianie) zbóż sposobem zwyczajnym załatwiają, to jest za pomocą szufli nabieraniem i miotaniem w górę.

Wsyпки gdańskie dzisiejsze mogą wygodnie do 500,000 kwarterów pszenicy w sobie mieścić. Ładunek zboża na okręty z taką zaś szybkością idzie, że wyrobnicy w 3., a najwięcej 4. godzinach mogą aż do 500 kwarterów naladować. Największe składy tak na towary jak i zboże, na kępie motławskiej się znajdują, trzydziestu ogromnie brytanami strzeżone. Nikomu na rzeczoną wyspę ani z lulką, ani z żadnem światłem chodzić, ani zamieszkiwać tam dozwolone jest. Prócz tego, są czaty przez stróżów odbywane, a nadewszystko w porze zimowej, które, uzbrojone biczami, na wszystkich przemykach pilnując, psom z kępy po lodach zbiegać niedopuszczają. Temu to rozporządzeniu przypisać należy, iż pamiętnika niema, by kradzież, lub pożar, miał kiedy tam miejsce. Przepisom tym ostrożności, równie statki, jak i okręty podlegać muszą.

Co do opłat urzędowych i splawnego, tacy od ziarna są następujące, od każdego łasztu biorąc:
— Od pszenicy mniej więcej 2 tal. i 22½ srg.
— żyta, jęczmienia i grochu po 2 tal. i 20 srg.
— owsa 2 tal. 12 srg.
— maki zaś i sucharów, po 5 od sta.

Splawne płacą zresztą od łasztów; bierze się zaś na jeden okręt 200 łasztów, czyli 300 beczek okrętowych, od których 175 talarów z okładem wypada. Ma Gdańsk dzisiejszy 75 własnych okrętów, 16,000 łasztów rzeczonych obejmujących, (czyli na 24,000 beczek ładownych) a 950 ludźmi obsługiwanymi, do służby wyłącznie handlu zagranicznego używanych. Co do banku gdańskiego, ten jest berlińskiego odnoga. Ponieważ złecone, czyli kommisowe, do opłat powyższych nienależy, z osobna też podejmować się musi; zwykle kupujący faktorowi handlowemu płaci od 60 sze-

flów, czyli od jednego łasztu, po 1 tal. i 7 srg., sprzedający zaś po 1 od sta. Wypłata wszelka pieniędzmi pruskimi się odbywa. Ważność wexlów tutejszych, od chwili przyjęcia, czyli akceptacji, do dni 14. Dni zaś względne, czyli respektowe, do 10 ograniczone, biorąc w to nawet święta; w przypadku tedy, gdyby ostatni w podobny dzień przypadł, n. p. na niedzielę, dniem przody zgłoszenie lub wypłata nastąpić winna. Interessowani zresztą niech niezaniedbują poprzednich powzięć w rzeczy wypłat informacyi, o które tu nietrudno jest. Targi walne dwa są do roku, to jest na ś. Dominik (Dominik-Markt), który się w dniu 5. Sierpnia rozpoczyna i trwa do trzech tygodni, z których atoli 8 pierwszych dni właściwie dla cudzoziemców poświęcone; i drugi na ś. Marcina, (Martini-Markt), lecz ten mało znaczącym jest. Pamiętać nakoniec i na to mamy, że wielki łaszt, inaczej słodowym (Malzlast) zwany, ma 90 szefłów; piekarski zaś, czyli workowy, 80, a zbożowy (Getreidelast) 60 szefłów liczy. Teraźniejszy szefel berliński dzieli na 4 ćwiercie (Viertel), a każdą ćwierć na 4 mece; dawny szefel gdański obejmował 25,974 cali sześciennych francuzkich; dzisiejszy zaś berliński równa się 2,770,736 calom takimże. Zboże na wyspach zakupują dotąd na łaszt, lecz okrętowe, które równie są 60 dawnym szeflom gdańskim; rachunek odbywa się na szefle berlińskie, których 56½ na łaszt jeden okrętowy wypada, o którym to warunku zwykle z góry wymowa ma miejsce.

Anglia dzisiejsza, mimo niezaprzeczoną wyższość rzeczy kupieckiej, wyznać należy szczerze, najnierozsądniej w handlu zbożowym postępuje, zakazy albowiem i ścieśnienia co do wprowadzania ziarn do kraju, z wielkim uszczerbkiem mieszkańców Wielkiej Brytanii mają miejsce; niedorzeczność rzeczona, w obecnej nawet chwili, nie małej klęski krajowej stała się przyczyną. Potrzebuje zaś Anglia rocznie zboża do 44 milionów kwarterów i to tylko na własne spożycie, nie biorąc nawet w to siewu, z którym summa 52 milionów kwarterów sięga. W roku 1831 wprowadzono do Anglii zboża obcego do 3. milionów, 431,809 kwarterów; gdy zaś ilość ta zaledwo czternastą jest częścią ogólnej summy rokrocznie na potrzeby kraju żądanej, zdawałoby się tedy mogło, że tak mała część niemoże wywierać wiele wpływu na ceny miejscowe; atoli rzecz się ma wcale inaczej, a to dla tego, że większej połowy zbiorów krajowych, bynajmniej na targach nie bywa, na potrzeby albowiem domowe, gospodarskie, chów bydła i trzody, producenci zbiory swoje obracają. Zaczęć idzie, że wspomniona ilość trzech milionów kilka kroć stotyścię kwarterów, nie czternastą, ale ściśle biorąc, siódmą tylko jest częścią ziarn na targi w przecięciu dowożoną, a tym samym musi znaczny mieć wpływ na ceny targowe, łatwość pokupu, sam nawet ucisk z niedostatku chleba, zwłaszcza w latach nieurodzajów krajowych i nigdy też

zabiedz niemożę zwyżce, podróżeni i zdzierstwom ztąd łatwo powstającym.

Przeglądając spisy sprowadzonego zboża z 1831 roku, pokazuje się, iż Anglia z samej Rosyi miała do 464,000 kwarterów pszenicy i maki pszennej; prócz owsa, żyta i jęczmienia, co wszystko razem z powyższą ilością wzięte, wyniosło aż 937,000 kwarterów. Handel ten, za ulepszeniem wyprawy ziarna, może nawet postąpić; pszenica twarda, czyli tak zwana kubanka, najpokupniejszą dotąd jest, lecz na użycie z starém ziarnem, odleżałem, mieszać się zwykła. Owies rossyjski, jako w kłóci zasuszany, bywa smigły, cienki, lecz zato twardy, ciężki i na karmę wielce poszukiwany. *) Dania z przystani Kiel wyprowadza również pszenicę, lecz i niewiele i mało popłacającą, z powodu niższej wartości od pszenicy polskiej. Niemcy najwięcej wysyłają ziarna na Hamburg, lecz jakkolwiek Sławian potomki, w górnej Elbie zamieszkali najlepszą szczytą się między nimil pszenicą, pośledniejszą jednak i ta od naszej jest; z tego też powodu ceny zbóż w Hamburgu niższemi od gdańskich bywają. Więcej popłaca Belgów pszenica, już to dla dobroci, już czystej wyprawy; jednakże obok polskiej nigdy utrzymać się niemożę. Francya miewa wprawdzie rocznie do 175,211,000 kwarterów różnego zboża; ilość ta, jakkolwiek zdawałaby się znaczna, potrzebie krajowej podołać niemożę, ztąd też i dla zagranicznego ziarna, za pewną opłatą, przystania swe otwierać zwykła. Hiszpania od r. 1820 używa wprawdzie swobody wolnego handlu zbożowego, wywóz atoli zdarzanego nadmiaru, dla złej administracyi kraju i niegodziwych dróg, dotąd postąpić niemożę; mimo, że dawna Kastylia, Leon, Estremadura i poniekąd Andaluzya, krajem zbożodajnym staćby się mogły. Ameryka niewiele pszenicy wysła; stany zjednoczone, najwięcej maki dotąd pszennej wyprawiają i to szczególnie do Wschodnich Indyi, Kuby, Meksyku i Brazylii.

O Świętym Krysztofie

(Z ust gminu.)

Będzie temu tysiąc pięćset lat prawie, jak żył na świecie pewien wielolud, nazwiskiem Oferusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swojej rękawicy wyprawil siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, on chcąc jej grób usypać, nabrał w bót swój ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne i wzniosła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, z kąd owej ziemi nabrał, powstała przepaść, a była ta przepaść

tylę mil głęboka w ziemi, ile mil owa góra nad ziemią sterczała. Nad przepaścią usiadł Oferusz i płakał rzewliwie; a wszystkie lzy jego w otchłań kapaly i zrobiło się morze. Dla tego to woda morska jest gorzka i słona.

Potem wyszedł Oferusz na wędrowkę i szukał pana, któryby ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy; u takiego pana jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nie znał wyższego od siebie, i nie znał, co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferusz, popisował się z swoją siłą i został mile przyjęty; nie odstępował odtąd ani na chwilę boku mocarza, i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobało się to bez wątpienia Oferuszowi; postanowił więc całe życie na dworze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden z sług królewskich wymówił w gniewie imię djabła. Słyszac to król bogobojny, przeżegnał się krzyżem świętym.

„Dla czego to zrobiłeś?“ zapytał się Oferusz, który jeszcze był Poganinem i nieznał zwyczajów chrześcijańskich.

„Zrobiłem to dla tego,“ odpowiedział król, „że się boję djabła.“

„Kiedy się ty djabła boisz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę ja zatem służyć u silniejszego pana,“ zawołał Oferusz, i zaraz dwór królewski opuścił i powędrował na puszcza, w której dnia pewnego napotkał rotę czarnych rycerzy, z rogami na głowie, z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział najczarniejszy i najokropniejszy, na tronie z głów trupich i z kości ludzkich, i wrzasnął rykliwym głosem: „Oferusie! czego szukasz?“

„Szukam djabła,“ odpowiedział nieulekciony Oferusz, „ażebym u niego służyć.“

„Ja jestem djabelem,“ rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferuszowi, który odtąd boku jego nigdy nie odstępował; a był mu jak prawa ręka przydatny.

Pewnego dnia, wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogi krzyżowe, kędy stała boża męka. Postrzegłszy ją dowódzca, zatrąbił co tchu na odwrót.

„Dla czego to zrobiłeś?“ zapytał się Oferusz. „Dla tego mój przyjacielu, że się boję Chrystusa!“ odpowiedział djabeł.

„Ty się boisz Chrystusa,“ pomyślał sobie Oferusz, „więc jesteś słabszy od niego; pójdę więc służyć Chrystusowi.“

I znów djabeł opuścił; a wędrując po puszczy, napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: „gdzie jest Chrystus?“

„Wszędzie!“ odpowiedział pustelnik; ale Poganin nie rozumiał i pytał powtórnie: „jak ja mam służyć Chrystusowi?“

„Módl się a pracuj!“ rzekł zapytany. Modlić się Oferusz nie umiał, lecz umiał pracować; poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry

*) Z Odessy w r. 1830, i to w porze samej letniej, wyszło 149,000 kwarterów okładem pszenicy polskiej tak miękkiej jak twardej. Ostatnia, szczególnie w Włoszech, na wyrób makaronów poszukiwana i obracana bywa.

strumień, płynący z góry, i dowiedział się, że każdy pielgrzym, chcący się przeprawić na drugą stronę, tonie na środku. „Tobie,“ mówił pustelnik, „dał Pan Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie; przenoś więc podróżnych na twoich barkach. Jeżeli to zrobisz dla miłości Chrystusa, to cię przyjmie za swego sługę!“

„Zrobię to dla miłości Chrystusa,“ zawołał Oferusz i przenośli dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnej sosnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnej nocy zasnął głęboko, znużony pracą dzienną; wtem słyszy głos dziecięcia, wołającego go trzy razy po imieniu. Wstał on bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wkroczył we wodę, która dawniej zaledwie kolan mu sięgała. Ale dzisiaj, gdy stanął na środku, szum powstał i wicher, woda się wzburzyła, bałwany były z wściekłością o brzegi, a Oferusz zgiał się pod dziecięciem jak pałag, i pierwszy raz w życiu uczuł strach i drżenie. Podniósł więc głowę i rzekł: „Dziecię, dziecię! dla czegoś ty tak ciężkie! Mnie się zdaje, że świat cały dźwigam na moich plecach!“

„Nietylko świat dźwigasz na twoich plecach,“ odpowiedziało dziecię, „ale i tego, który świat stworzył. Ja jestem Chrystus, któremu ty służysz; ja ciebie chrzczę w imię Ojca, w imię moje i w imię Ducha Św. Odtąd nazywać się będziesz Krysztof, to jest piastun Chrystusa.“

Odtąd więc nazywał się ów wielolud Krysztofem i chodził w dół i w szersz po świecie, aby nauczać słowa Pana swojego i został za te nauki od Pogan ukamienowany.

Mąż małej wiary.

(Legenda.)

(Ew. Mateusza. XIV. 22—32.)

Za dni szczęśliwych, raz mistrza uczniowie
Wiehrem miotani po jeziorniej wodzie,
Całą noc nagłąc swe przewożne łodzie,
Byli dopiero ledwo na połowie;
Bo, choć do zwirow dotarli już wiosła,
Fala ich znów na głębie zaniosła.

Smutni żeglarze, ze środka topieli,
W świetle poranku, gdy jezioro cichło,
Brzegi dalekie ujrzeni nierychło
I mistrza swego na falach ujrzeni.
Jak on spokojny, zdaleka od łodzi,
W świetnych dumaniach po wierzech wód chodzi.

Lekliwa rzesza, zwisła od roboty
Ręce zalamie i ratunku woła;
Jeden mąż tylko, pogodnego czoła,
Powitał mistrza i pełen ochoty
W głębokiej wierze a cichej pokorze
Wstał na fale; — więc iść po nich może!

Przecież, gdy wicher bałwany rozrucha,
On wzywa mistrza i struchlały tonie,
A mistrz na falach podając mu dłonie,
„Czemuś,“ rzekł „czemuś zwątpił twego ducha?“
I weszli w łodzie, ścichły wód odmetę,
Wiosła trąciły o brzeg ziemi świętej.

E. B.

Pierwsza miłość.

| | |
|---------------|----------------|
| I. | Te chwile |
| Miłości | Łask morze |
| Śnie słodki, | Przytomne |
| Tys słońce | Pamięci, |
| Przed burzą! | Gdy skromne |
| Radości | Me chęci |
| Czas krótki | W jej oku |
| Wnet smutki | Wyroku |
| Zachmurzą; | Zbawienia |
| Gdy grzmoty | Szukały, |
| I luny | W spojrzeniu, |
| Błyskawic | W ściśnieniu, |
| Przemią, | Raj życia |
| Gdy usną | Widziały! |
| Pioruny, | III. |
| Potoki | Jak w pierwszy |
| Chmur spłyną, | Dzień wiosny |
| Choć słońce | Śród krzaków |
| Promieniem | I drzew, |
| Znów błysnie | Najszczerzy, |
| W przezroczu, | Radośny, |
| Lży tylko | I ptaków |
| Wspomnieniem | Jest śpiew; |
| Wycisnie | Tak pierwsze |
| Ci z bczu. | Co w duszy |
| II. | Zapłonie |
| Już dawno! | Rochanie, |
| Jak dawno? | Najszczerze! |
| Wiek temu, | Jedynie! |
| Dzień temu, | Jedynie |
| Nie pomnę; | Zostanie. |
| Tak zawsze | |

Sa.

U Ernesta Günthera, Księgarza i Typografa w Lesznie, wyszedł portret

J. WW. Arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego.

J. Xiędza Marcina Dunina,

L. N., Kawalera orderu Czerwonego orła, i t. d.

Dostać go można po wszystkich księgarniach.

Cena egzemplarza, na pięknym welinie 3 złp., oprawnego w złote ramy i szkło 9 złp.; — na chińskim papierze 4 złp., oprawnego w złote ramy i szkło 10 złp.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)